TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 12. *Chicago, Ills., 16 Września, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ
— Z —
CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

— Ale widzisz kochanku, — odpowiedziała łagodnie podkomorzyna — dla naszych osobistych widoków niepodobna poświęcać Maryi.

— Broń mię Boże od takiej myśli — mówił dalej podkomorzy — ale ja, do pewnego czasu przynajmniej, żadnego nie widzę niebezpieczeństwa, królewicz na Wołoszczyznie, a gdy powróci, to razem z Ruszczycem. Do tego czasu minąć może chwilowe upodobanie Maryi, a potem przyśpieszą się związki małżeńskie i wszystko się jak najlepiej skończy.

— A gdyby królewicz za powrotem — zapytała podkomorzyna — miał powziąść prawdziwą miłość dla Maryi?

— Ha, — odparł podkomorzy, — w Bozkim ręku wszystko; trudnoby szczęścia dziewczynie zagradzać, gdyby ją nim Opatrzność obdarzyć chciała. —

Długo jeszcze trwała ta narada, a ostatecznym jej skutkiem było to, że nie wypadało zatrzymywać Maryi w domu, lecz ufając zupełnie jej szlachetnemu sposobowi myślenia, czekać powrotu królewicza i rotmistrza, bo wtedy i rzecz się cała wyjaśni i spełnienie związku małżeńskiego będzie mogło nastąpić, a przez to wszystkiemu się zagrodzi.

Marya bawiła jeszcze przez czas niejaki u podkomorstwa, musiała odbywać odwiedziny po sąsiedztwie i zbierać wszędzie pochwały i różnego rodzaju prośby, jedne jak drugie równie dla niej uprzykrzone. Nic dawnej jej wesołości przywrócić nie zdołało i domownicy wszyscy ubolewali nad tem, mówiąc jedni: że ich Pani wyładniała, ale spyszniała, a drudzy, że jej jakiś frasunek dolega.

Powrót do dworu przywiódł jej na pamięć owe przykre chwile pierwszego okazania się na nim. Żołkiew była dla niej nieznośnem miejscem: nie znajdowała w niem żadnych wspomnień świetnych lub przyjemnych. Nigdy w tym zamku nie widziała ani króla, ani królewicza; otaczały ją tam też same osoby, które ją przy pierwszym wstępie przyjmowały, to jest: zupełnie oziębła dla niej królowa, prześladująca ją skrycie pani Feud'herbe i nudny dla zalotności swojej Mondor. Wszystko, cokolwiek unosiło jej duszę, co serce słodkiem przyjmowało uczuciem, było zawarte w wspomnieniach na pobyt w Krakowie i pod Jazłowieckim zamkiem, lecz wszystko snuło się po myśli, jak sen miły, którego obudzony żałuje, tym dotkliwsze jeszcze, że nieustanną w sercu żywiło tęsknotę.

ROZDZIAŁ XII.

Wy zaś Faunowie i Satyry leśni,
Nućcie pochwalne dla myśliwych pieśni:
Powiedzcie Sidrze, czem się kto dziś wsławił,
Kto ubił łosia lub żubra zadławił.
. . . .
Kto w strachu zmarły od harapa ożył,
I swą niemęzką zmywając sromotę
Twierdził z odyńcem mieć ciężką robotę.

Łowy w Sidrzańskiej puszczy.

Po równie długiej jak niekorzystnej wyprawie Zwanieckiej wrócił król ze znużonem wojskiem do ojczyzny; lecz go ani sława odniesionych zwycięztw nie poprzedzała, ani go radość i uniesienie narodu, równie jak niegdy po wyprawie Wiedeńskiej, nie powitały. Zimę przepędził dwór w Żólkwi, a w miesiącu Lutym udał się do Wilanowa z powodu sejmu na wiosnę do Warszawy zwołanego.

Ruszczyc wróciwszy z wyprawy i uprzedzony o nastąpić mającym sejmie, udał się do swego ziemstwa aby w właściwym sobie powiecie urząd posła uzyskać. Król wyniósł go był na stopień brygadyera w ciągu wyprawy, nowa ta dostojność jednała mu przychylne głosy wielu współobywateli, lecz wielu także upatrywało w niej powód do odmawiania mu kreski, utrzymując, że zbyt dworowi przychylny. Na tem szczególniej opierało opozycyą swoję stronictwo możnego dygnitarza, który chciał utrzymał posłem osobę widokom swoim odpowiadającą, dla tego że był osobistym nieprzyjacielem Ogińskiego, wojewody trockiego, którego król bez pośrednictwa sejmu kanclerzem koronnym mianował. Lecz znana waleczność i uczciwość Ruszczyca przemogły nad wpływem magnata, i ci, którzy najzuchwalej przeciw niemu się odkazywali, nie dotrzymawszy placu odstąpili bronionej przez siebie sprawy, gdy Ruszczyca, na czele licznych przyjaciół z nieustraszoną postawą do miejsca obrad wchodzącego spostrzegli.

Zaszczycony ufnością współobywateli przybył Ruszczyc wcześnie do stolicy z wystąpieniem, jakiego z jednej strony sprawowanie poselstwa na sejm, a z drugiej spodziewane zawarcie ślubów małżeńskich z Maryą wymagały. Stolica i nowy zamek, w którym król przebywał, świetne były naówczas; rozmaitego rodzaju zabawy zajmowały chwile pozostałe od narad, odbyć się mający sejm poprzedzających. Gdy się Ruszczyc na dworze pokazał, oznajmiono mu, iż wszystko gotowało się do wielkich łowów, które w puszczy o pięć mil od stolicy, na lewym brzegu Wisły ku miastu Sochaczemu położonej, odbyć się miały. Jordan namówił swojego dawnego przyjaciela, aby niebawnie wybrał się na te łowy, gdyż tam będzie miał sposobność widzenia razem króla i narzeczonej swojej, która wraz z innemi damami w tej zabawie królowej towarzyszyć miała.

Na wielkiej płaszczyznie pomiędzy bagnami starożytną olszyną pokrytemi, jest wzgórze piaszczyste, dosyć rozległe, sośniną zarosłe, zkąd oko tylko kręte dwie drogi do nędznych osad budników prowadzące spostrzega i przez otaczające gąszcze nigdzie dalej sięgać nie może. Dwieście chłopów ze stołowych dóbr królewskich od trzech dni uprzątało na owem wzgórzu miejsce, na którem szopy, namioty i szałasy dla kuchni i hałastry dworskiej stanąć miały. Od trzech dni słychać było same uderzenia siekier i łoskot ścinanych sosien druzgotających w powale swoim otaczające je młode drzewiny, tudzież okrzyki łowczych i dozorców robotami kierujących, a w przyległych kniejach rozlegały się odgłosy, które echo, to jako huk wystrzałów, to jako gwar ludu, wracało. Trzeciego dnia na kilka staj wzdłuż i wszerz zmieniła się postać całej przestrzeni; runął las odwieczny, a gdzie lat kilkadziesiąt nieprzerwany cień panował, sięgały od razu promienia słoneczne, aż się śnieg od nich połyskał. Cała przestrzeń zawalona pniami i gałęziami, pomiędzy któremi widać było ludzi, konie i woły, uprzątaniem ściętego drzewa, równaniem miejsca i wydobywaniem pni zajęte. Kilkadziesiąt ogniów pochłaniało chrusty i ściągane kupami gałęzie. Kłęby dymu wznosiły się pod obłoki, a huczenie płomieni i trzaskanie palącej się kory i drobniejszych gałęzi powiększało zgiełk powszechny i zdawało się grozić zniszczeniem okolicznym lasom. Piątego dnia już było spokojniej na tem miejscu, a na zrównanej i piaskiem grubo wysypanej powierzchni wznosiły się znikome budowy, które na czas krótki dwór królewski przyjąć miały. Kilkudziesięciu robotników zajętych było dokończeniem wielkiej szopy, słomą pokrytej i deskami obitej, a wewnątrz żelaznemi piecami ogrzanej, gdzie królestwo mieścić się i zaproszonym gościom ucztę wyprawiać mieli. Około niej wystawiono kilka szałasów, rozbito tyleż namiotów i przyległą chatę leśniczego w kuchnię królewską zamieniono.

W wigilię dnia na łowy przeznaczonego zjęchał monarcha z królową, z dworem i ze wszystkimi uczestnikami ulubionej zabawy, i to miejsce przed kilka jeszcze dniami tak odludne i dzikie, przybrało postać równie ludnej jak świetnej osady. Przeszło sto sani zaległo miejsce w dolinie wzgórze otaczającej, i zdaleka słychać było rżenie koni i krzyki służalców powozowych ich oprzątaniem zajętych. Między namiotami i szopami na samem wzgórzu, snuli się ustawicznie to panowie szukający schronienia dla siebie, to ich służący przysposobieniem dla nich noclegu zajęci. Gdzieniegdzie słyszano wystrzały tych, którzy muszkiety swoje do jutrzejszej posługi gotowali, a później odgłosy trąb myśliwskich z wyciem psów mięszane, które oznajmiały chwilę karmienia niezliczonych sfór gończych w osobnych psiarniach nagromadzonych. Wieczór przepędziło całe wyższe towarzystwo w szopie królewskiej, odkąd do pozostałych w namiotach myśliwców, tylko odgłosy wesołej muzyki dochodziły. Przy końcu wieczerzy oznajmił wielki łowczy koronny, w jakim czasie król z celniejszymi panami miał nazajutrz wyruszyć na łowy; nadmienił o stanowiskach, które sam monarcha i inni panowie zająć mieli, wspomniał o miejscu bezpiecznem i łatwo dostępnem z którego królowa z damami łowom przypatrywać się miała, i zaręczył, że pora i obfitość już wyślakowanej zwierzyny najpomyślniejszą rozrywkę Najjaśniejszemu królestwu Ichmość na dzień jutrzejszy zwiastują.

Księżyc rozwodził jeszcze blade promienie po wierzchołkach starożytnych olszy i sosien, gdy gromady wieśniaków ze wszystkich okolicznych wiosek pod przewodem swych sołtysów i łowczych królewskich na milę w koło miejsca gdzie dwór obrał stanowisko, knieje i znajdującą się w nich zwierzynę w postaci obławy otaczały. Pomimo surowego zakazu milczenia, zbliżały się do swoich stanowisk te długie pasma wieśniaczego ludu, zatrważającym szmerem poprzedzone, jak owe wały z koryta wyszłej rzeki, które łąki i pola plonami pokryte zalać mają. Gdy cała przestrzeń kniei około ludźmi obsadzoną była, ozwały się trąbki łowczych, krótko lecz kolejno na wszystkich punktach powtarzane, które dały znać że obława już w miejscu stanęła. Wtedy już było weszło słońce, i przy łagodnem powietrzu zimowem roznosiło blask rażący po całej okolicy świeżym śniegiem przypruszonej. Pędem przybył łowczy nadworny do wielkiego łowczego koronnego z doniesieniem o nastałej już chwili do rozpoczęcia łowów, i odebrał rozkaz wyprawienia strzelców i psiarków w miejsca, zkąd psy puszczać i niemi na zwierzynę zakładać mieli. Sam zaś łowczy koronny udał się do króla i oznajmił mu, że nadszedł czas ruszenia na stanowiska wcześnie oznaczone, które gdy przez królestwo i obecnych panów zajęte zostały, rozbiegli się

drożynami podłowczowie do strzelców, z rozkazem puszczenia psów i rozpoczynania pogoni.

Rozległy się po kniei odgłosy kilkudziesiąt trąb myśliwych i nawoływania z różnych punktów na zwierzynę zakładających myśliwych. Usłyszano naprzód zławianie ogarów wietrzących dzikiego zwierza, a później grały w całej kniei goniących psów głosy, które coraz częstsze wystrzały, nawoływania chybiających i potrębywania trafiających przerywały. Na ostatku padł wystrzał, zatrąbiono pojezdnego i ze wszystkich stanowisk zbiegali się na odgłos myśliwi, aż przybyli na miejsce gdzie król miał stanowisko. Stał on wsparty prawą ręką na muszkiecie, dwóch przybocznych łowczych uderzało co siły w trąbki, każdy w inną stronę obrócony, ogromny łoś leżał u nóg króla, który zwykłą umysłu ludzkiego słabością, tak był uradowany pokonaniem pierzchliwego zwierza, że się podobny wyraz zwycięzcy na jego poważnej twarzy malował, jak wówczas gdy nieprzyjaciela ojczyzny pokonał. Ze wszystkich stron zbiegali się uczestnicy łowów, niektórzy niosąc drobniejszą zwierzynę, inni napróżno wystrzelone rusznice. Drogą pędziły dwa pojazdy zajęte: pierwszy przez królowę, księżnę wojewodzinę wileńską i córkę królowej; drugi przez Maryę i inne dwie polskie damy dworskie.

Wszyscy otoczyli króla i sadzili się na pochlebstwa wszelkiego rodzaju, ażeby bardziej jeszcze i tak już uradowanego monarchę ucieszyć.

— Patrzaj kochanko! — rzekł on obracając się do królowej — blizko sto kroków było i jeszcze między gałęziami, ledwo mi się mignął, ale oko wprawne i ręka pewna! musiał poledz nieborak, najpiękniejsze zwierzę całej kniei, prosto w głowę kulą ugodzony.

— Szkoda! — odpowiedziała królowa przypatrując się ciekawie łosiowi — wolałabym go mieć żywego w Wilanowie.

— Będziesz miała i sto takich, najukochańsza Marysieńko, abyś tylko sama chciała. Panie łowczy nadworny, trzeba sprawić zwierzę i dać psom odprawę, bo jeszcze gdzieindziej założym; szkodaby było przy tak pięknym dniu na tak małem poprzestać.

Zebrał się łowczy nadworny do wypełnienia odebranego zlecenia; wzięto psy wszystkie na sfory i psiarkowie trzymali je silnie, aby się do ubitego zwierza nie cisnęły; starsi strzelcy przytrzymali łosia, i gdy się zabierano do otworzenia onegoż, rzekł wielki łowczy koronny do króla:

— Najjaśniejszy Panie! myśliwskim zwyczajem wypadałoby naprzód pogrzeb sprawić temu tak zręcznie ubitemu łosiowi, a W. K. M. wypada nam się wywiązać myśliwym, nim do dalszych czynności przystąpim.

— Dobrze mówisz — rzekł król — trzeba się posilić i wypić in perpetuam memoriam tego szczęśliwego trafu. To mówiąc dał znak dworzanom, którzy dobyli z sani myśliwskie śniadanie, zastawili na podróżnym stole, a zaproszeni uprzejmie od króla panowie za zdrowie jego spełnili puhary i dany posiłek w krótkiej chwili spożyli. Opodal zgromadzili się strzelcy i kolejno kielich wódki przy opowiadaniu zdarzeń łowieckich wypróżniali.

Po tym spoczynku oznajmił łowczy nadworny, iż się całe myśliwstwo do innej kniei przeniesie, w której jest obsaczone duże stado dzików; a przewodnicząc królowi do właściwych stanowisk, kazał gończe psy odprowadzić do szałasów, i z prowadzonemi dotychczas na obrożach kondlami w wiadomych miejscach na dziki zakładać. Królowa pomimo odradzania chciała się przypatrzyć tym niebezpiecznym łowom i przyrzekła że z pojazdu wysiadać nie będzie, byleby tylko nie zbyt daleko od miejsca, gdzie się największej utarczki z dzikami spodziewać można było, stanąć mogła.

Książę Jakób, który dnia tego nie miał jeszcze sposobności spotkania się ze zwierzem dzikim, prosił łowczego, aby mu dał stanowisko takie, gdzieby go pędzona zwierzyna minąć nie mogła. Stosownie do tego życzenia postawił go, wraz z napierającym się o to Mondorem, w najlepszem stanowisku, w miejscu nie zbyt odległem od króla i królowej, tak że go z pojazdu widzieć można było.

Gdy wszyscy zajęli wskazane sobie miejsca, usłyszano niezadługo naszczekiwania psów, mniej częste wystrzały, kiedy niekiedy krzyk, który strach nienawykłego myśliwego oznaczał. Słysząc z daleka zbliżającą się pogoń zerwał się żywo książę Jakób, stanął pod sosną, odwiódł muszkiet i z bijącem sercem, okiem chciwością myśliwską pałającem poglądał przed się, rychło się oczekiwany zwierz ukaże. W tem zadudniło zdaleka; tętent jakby kilku jeźdźców rozległ się po lesie, druzgotanie gałęzi i szelest przy przedzieraniu się przez chrusty wydany oznajmił

zbliżenie się czarnej trzody. Huk w blizkości słyszany dał znać, że król już wystrzelił i największą baczność księcia wzbudził. Wypada z gąszczu ogromna maciora i kilkanaście za nią warchlaków; chciwie mierzy do niej książe, lecz zmięszany wielką ilością zwierza, uniesiony chciwością, wydaje strzał chybny i w tym momencie spostrzega, iż największy pojedynek spieniony, kłąszczący kłami, a dla odebranego postrzału zdążyć za innemi nie mogący, z wściekłością na niego uderza. Nie zdążył książe schronić się na drzewo na którem Mondor już siedział, dobył kordelasa, lecz nie śmiał w pierwszej chwili nadstawić go odyńcowi; dwa razy już obiegał wkoło drzewa, i zwierz zajadły tuż za nim gonił, gdy się dał słyszeć naprzód okrzyk trwogi z pojazdów dworskich, a następnie blizki wystrzał który dzika trupem położył.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Dokończenie.)

Wszystek przytomny lud krzyknął radośnie, witając pana swego i dziedziczkę. Oddawszy serdeczne dzięki wiernemu ludowi swemu, Edelbert z Różą postąpili ku zamkowi, gdzie znaleźli grono dobranych gości, a Agnieszka, córka



węglarza, ubrana w kwiaty, oddała panu swemu klucze od zamku na purpurowej złożone poduszce. Edelbert odebrał klucze i stanęła mu na myśli wielka dobroć rządzącego wszystkiem Boga.

— Nim wejdziem do zamku, — rzekł — niech się skierują nasze kroki do Boga Dawcy wszystkiego!

Usłuchali tej pobożnej myśli wszyscy i weszli do pobocznej kaplicy, gdzie zaśpiewali Najwyższemu Panu starą, dziękczynną pieśń: „Ciebie Boże chwalimy".

Po czem udali się wszyscy do sali i zasiedli do stołu; ludowi dana była uczta w podwórzu. Edelbert, skoro tylko zdarzyła się pora, wyszedł z sali na podwórze, aby się ucieszyć ze swymi wiernymi. Przystąpiwszy do Burcharda i jego żony, rzekł te wyrazy:

— Stary i wierny sługo, któryś wraz z twoją żoną tak po ojcowsku opiekował się moją córką, zostaniesz na zawsze w moim zamku; oddaję ci urząd koniuszego, twoja zaś poczciwa córka będzie przy boku Róży.

ROZDZIAŁ XX.

Dalsze powodzenia Róży.



Edelbert i Kunerych, Hildegarda i Róża odwiedzali się wzajem bardzo często; po niejakim przecież czasie odwiedziny ze strony Kunerycha ustały, a co więcej jeszcze zastanowiło, iż pod płonnemi pozorami wstrzymywał chcących go odwiedzać w Fychtenbergu. Po kilku tygodniach przecież wpada Kunerych na zamek Edelberta i prosi, żeby się spiesznie zabierali w odwiedziny.

Niebawem udał się Edelbert z córką i Kunerychem w podróż. Gdy przybyli do Fychtenberga i zaledwo przywitali się z panią domu, naglił znowu Kunerych, aby szli z nim obejrzeć nową budowlę. Wprowadził ich w korytarz wiodący do więzienia, w którym więziony był Edelbert. Dawne smutne wspomnienia mógłby był każdy wyczytać w twarzy ojca i córki; ale te ustąpiły radosnym uczuciom; gdy Kunerych otworzył drzwi, spostrzedz było można zamienienie więzienia w nadobną kaplicę.

Gdy Kunerych spostrzegł miłe wzruszenie w ojcu i córce, rzekł:

— Tego ja też tylko chciałem, żeby wam sprawić tę radość i żeby się ten zamiar nie odwlókł, nie odwiedzałem was podczas budowy i wymawiałem się z waszych odwiedzin. Ale prawdę powiedziawszy, nie mogę sobie samemu tego pomysłu przypisać; ja tylko wypełniłem to, co moja Hildegarda pomyślała.

— Dzień jutrzejszy — odrzekła Hildegarda — naznaczony jest do poświęcenia tej kaplicy, ks. Opat i Sufragan Norbert przybędzie dziś; Siegbert i Teobald z familiami swemi są na tę uroczystość zaproszeni, a najistotniejszymi gośćmi jesteście wy, którym tę kaplicę winni jesteśmy. Aż nadto jestem pewny, że nie odmówicie nam przyjemności waszej obecności na jutrzejszej uroczystości.

Następnego dnia, gdy ks. Opat z duchowieństwem i goście zaproszeni przybyli, rozpoczęło się nabożeństwo, po ukończeniu którego ks. Opat następującą miał przemowę:

— Umiłowani w Panu słuchacze! Miłość rodziców ku swemu synowi, który z niebezpieczeństwa był szczęśliwie wyswobodzonym, i miłość córki ku ojcu, któremu ona w tem tu oto miejscu uczyniła wiele dobrego, stała się powodem, że obecne miejsce, niegdyś miejsce smutku, stało się miejscem czci Boga i poświęcone właśnie zostało na wdzięczną pamiątkę dobroci Najwyższego.

Historya nadmieniona jest wam wszystkim znaną, pocóż miałbym ją powtarzać? raczej powinienem z wami rozmyślać nad wypływającą z niej nauką dla rodziców i dzieci, zwłaszcza że takowych widzę licznie zgromadzonych między mojemi słuchaczami.

Jestto jedno z najpiękniejszych rozporządzeń Boga, z którego jego mądrość i dobroć naocznie się wykazują, że swe miłe ale zarazem niedołężne stworzenia, to jest dzieci, polecił opiece rodzicielskiej; że w serca rodziców rzucił iskrę swej, wszystkie stworzenia obejmującej miłości; że swe dobrodziejstwa ciała i duszy tyczące się, posyła im przez ręce rodzicielskie — i tak niewidzialny działa przez widzialną miłość rodziców.

Dałby to Bóg, żeby wszyscy rodzice byli godnemi narzędziami tej wielkiej miłości Jego, i dzieciom swym zawsze wystawiali na widok wzór najwyższej Jego i najmędrszej dobroci. Dałby, mówię Bóg, żeby go naśladowali; a jak On nie tylko daje nam pokarm, napój i przyodzienie, lecz najistotniej ma na celu ducha człowieczego, i oni nie przestali na tem, że ciała wychowają, lecz starali się wykształcić i ducha, oświecając jego rozum i wpajając wolę do dobrego, nauką i dobrym przykładem, zachętą i karnością.

Od rodziców i dzieci ołtarz ten otaczających, wznoszę myśl moją do Boga, na którego cześć tenże jest poświęcony, bo On jest naszym pełnym miłości Ojcem, a my powinniśmy wszyscy być Jemu wdzięcznemi dziećmi.

Boże i Ojcze nasz najłaskawszy! spraw to łaską Twoją, żebyśmy Ciebie jak tego godzien jesteś, nad wszystko miłowali, a siebie wzajem tak miłowali, jak braci i siostry nasze, jak dziatki Twoje, nie wyłączając od tej miłości biednych wdów i sierot. Toć zapewnia Twój Apostół św., że na tem zależy prawa pobożność, że

tym czynem godnie Cię czcić zdołamy, — na taką cześć spoglądasz łaskawie.

Ażeby do takiej czci przyłożyła się ta kaplica na służbę Twą poświęcona, jest Twoja św. wola, — do uiszczenia dopomóż nam, przez Jezusa Chrystusa. Amen.

Po skończonej Mszy św. i całem nabożeństwie udali się wszyscy do zamku. Wtem słychać w podwórzu trąbki; co takiego? zerwali się wszyscy, żeby się dowiedzieć, aż tu widać znaki księcia. Zanim zdążyli przytomni rycerze wyjść na jego powitanie przed zamek, on sam stawa przed nimi. Pozdrowił nasamprzód Edelberta podawszy mu prawą rękę i odezwał się w te wyrazy:

— Tobie kochany rycerzu, przywożę nowinę o mężnie wywalczonym pokoju i składam ci za pomoc, jakąś dał swym wojskiem, dzięki



równie z mej strony, jak i cesarza. Przy tej sposobności odprowadziłem ci dzielnych twoich ludzi; dnia wczorajszego przybyłem do Tanenberga, ale nie zastawszy cię w domu i dowiedziawszy się, że jesteś w Fychtenbergu, pospieszyłem raniutko z mojemi towarzyszami tu, w przekonaniu, że rycerz Kunerych zechce mnie przyjąć po bratersku. Nieprawdaż? — I podając Kunerychowi rękę, dodał:

— Pewnieś się tego najazdu nie spodziewał, a przecież ja i tu na wyraźny rozkaz cesarza jestem. Zleceniem jego jest wyrazić ci szanowny rycerzu zadowolenie naszego pana, ztąd pochodzące, iżeś się pojednał z Edelbertem, ten czyn uszlachetnia cię istotnie.

Dopiero spostrzegł ks. Opata i pospieszył ku niemu, a oddawszy należne uszanowanie temu zacnemu prałatowi, dodał:

— Nader mnie to cieszy, że cię Najprzewielebniejszy Ojcze znajduję w gronie twoich owieczek co cię wielce szanują. Rzadkie to dla nas szczęście, bo twoje obowiązki klasztorne trzymają cię w murach; dla nas to szczęście widzenia cię tem milsze im rzadsze.

— Zaufany, — odrzekł do Hildegardy książę, — w twojej gościnności szlachetna pani, zaprosiłem się z moimi Towarzyszami do twego zamku, i wiem że twoje uprzejmie serce przyjmie mnie łaskawie.

— Z tobą panno Różo, mam też parę słówek mówić, ale obecnie nie jest czas po temu; przeszkodziłem obiadowi, a to nagrodzić powinienem, i witając uprzejmie wszystkich przytomnych rycerzy i damy, proszę siadajmy do stołu.

Gdy pani domu wskazała pierwsze miejsce, odpowiedział:

— Lubo uznaję, iż w tym zamku żadnego prawa zarządzania nie mam, ale pani ustąpisz mi na moment swego przywileju. Zechcesz siąść po prawej, panna Róża po lewej. Ciebie Najprzewielebniejszy Opacie chciałbym mieć naprzeciw siebie, między rycerzami Edelbertem i Kunerychem. A teraz siadajmy, bo muszę się przyznać, iż się nie źle przetrząsłem.

Ku końcowi obiadu odezwał się książę w ten sposób:

— Takie nieporozumienia między Edelbertem i Kunerychem, jak i zgoda między tymi panami, do której najistotniej przyłożyły się moje szanowne sąsiadki, doszły wiadomości naszej w obozie. Wszakże nie są mi znane wszystkie okoliczności, a przeto nie wszystko wiem w należytym związku; byłoby mi przyjemnie wiedzieć wszystko ze źródła.

Czynił przeto rozmaite pytania, na które wpływające do historyi osoby odpowiadały. Edelbert, Hildegarda i Róża ile było można ochraniali Kunerycha, co gdy on spostrzegł, uzupełnił ich powieść rzetelnie.

— Ja zbłądziłem — dodał — i bardzo grubo zbłądziłem; zatajenie błędu mego nie poprawi go. Chwalebniejsza raczej jest, wyznać błąd i podług możności wynagrodzić. Co znam być powinnością uczyniłem, i życzę każdemu, ktoby miał to nieszczęście popaść w podobny mojemu błąd, naśladować mnie w uznaniu winy i poprawie. Tą drogą trafi do pożądanego celu, bo drogami krzywemi nikt nie dojdzie do zaspokojenia sumienia i swobody. Ja muszę otwarcie wyznać, że dopókąd żyłem w niezgodzie, nie znałem co to jest pokój ducha, dziś dopiero jestem zupełnie szczęśliwym.

Po skończonej takiej rozmowie odezwał się książę:

— Nie prawdaż moi szanowni rycerze i damy to, że tu tak radośnie społem zasiadamy winniśmy pannie Róży z Tanenbergu? Gdyby

nie jej szlachetne poświęcenie, mogę zaręczyć, że pod ten czas bylibyśmy w krwawy bój zawikłani, bo to jest więcej jak pewno, iżbyśmy uwięzienia Edelberta bezkarnie nie puścili. W obozie cesarskim już to było ułożone, że skoro pokój przyjdzie do skutku, ja miałem ze znaczną siłą obledz Fychtenberg i bądź co bądź zdobyć. Kunerych pewnieby za tę robotkę dużo przypłacił. Zważcież sobie ileby to krwi niewinnej płynąć musiało. Niech będzie Bóg pochwalony, że tej rzeczy przez pannę Różę dał bieg tak zgodny i miły.

— Ach najłaskawszy panie, — rzekła Róża — mnie nie przynależy się tyle sławy, bo sam Bóg kierował tem wszystkiem. Ja nie przyłożyłam się więcej do tak pomyślnego wywiązania całego tego nieporozumienia, jak ta biedna ptaszyna, która wpadła do cebra studziennego, żeby ugasić swe pragnienie.

— Uwaga panny Róży, — rzekł ks. Opat, jest w istocie droższa nad złoto. Zaiste, w pożyciu ludzkiem zjawiają się tysiące zajść tak drobnych, że na nie całkiem nie zważamy; a przecież te drobnostki bywają zarodami wielkich i znakomitych wynikłości. Takich drobnych okoliczności, jak ta, którą dopiero co wymieniła panna Róża, jest jeszcze więcej w niniejszej historyi. Któżby naprzykład sądził, że jego los od tego zawiśnie, że słońce świeci, lub jest słota? A przecież gdyby Bóg nie był dał owego pięknego dnia, w którym wydźwigniony z oczywistej zguby Eberhard, nie byłby wyszedł na dziedziniec, i panna Róża nie miałaby była sposobności przysłużenia się i zmiękczenia serca Kunerycha, — i pewnieby wielu mężnych ludzi w oblężeniu straciło życie, narobiło się wiele nieszczęśliwych wdów i sierot, nawylewało wiele łez -- któż sobie czyni z tego na przyszłość wnioski, że ta lub inna stoi na jego stole potrawa? A przecież owe grzybki, co dane były w domu węglarza do stołu, w istocie były sprężyną pomysłu panny Róży, że stała się służebną dozorczyni, że służyła ojcu, że zganił jej żal do familii Kunerycha, że zatem usposobił do heroicznej usługi, przez którą tak wiele dobrego na obie familie spłynęło. Takto Opatrzność Bozka głosi swoję mądrość i dobroć nawet w najoboiętniejszych na pozór zdarzeniach życia ludzkiego, właśnie jak zręczny muzyk, w swoję harmonię wmięsza czasem ton na pozór nieprzyjemny, ale całość wydający przez to przyjemniejszy. Gdybyśmy życie nasze w tej mierze rozważali, zapewnobyśmy zamiast utyskiwać na rozporządzenia Boże, wielbili jego mądrość i dobroć.

Wszyscy przyznali słuszność ks. Opatowi, a książę pochwycił puhar, powstał i zawołał:

— Niech żyje cesarz, nasz najmiłościwszy Pan!

Ks. Opat, rycerze i damy powtórzyli to życzenie, a skoro się uciszyło, książę mówił dalej:

— W tym momencie, gdyśmy wynurzyli nasze życzenia panu naszemu, winienem wywiązać się ze zlecenia jego do panny Róży. Z wielkiem zadowoleniem powziął on wiadomość o wielkiej miłości, jaką pała serce twoje ku ojcu, podziwiał nie mniej twój heroizm, przez który uczyniwszy z siebie wielką ofiarę, oszczędziłaś znakomity rozlew krwi, postanowił zatem w mądrości swojej to, co właśnie tobie, ojcu twemu i wszystkim przytomnym ogłosić powinienem.

W tem dał znak, a jeden z jego świty podał mu oprawny w ponsowy aksamit, wybornie ozdobiony, na pargaminie pisany list cesarski, z wiszącą na złotym sznurze zamkniętą pieczęcią.



Ten odebrał książę i podając go Róży, tak dalej mówił:

— Uszanowania godna panno, że ojciec twój nie pozostawia po sobie syna, przeto Tanenberg jako lenność spadająca na dziedzica płci mężkiej, wróciłaby napowrót do Cesarza, — lecz że uczyniłaś twoją osobistością więcej krajowi przysługi, jakby może dziesięciu potomków płci mężkiej, przeto cesarz za zezwoleniem książąt rzeszy niemieckiej, zlewa na ciebie to lennictwo. Wskutek tego przywileju zostawiono zupełnie twej woli wybierać sobie małżonka podług twego serca, a jego obowiązkiem będzie pisać się panem z Tanenberga. Niechże zatem to imię Tanenbergów rozszerza się w najpóźniejsze pokolenia i niesie obfite błogosławieństwo dla świata.

Edelberta wzruszyła mocno ta łaska cesarska; Róża podobnież wzruszona zaledwie zdołała znaleźć parę wyrazów na wydanie swej wdzię-

czności. Ale potomne wieki pokazały sowicie, że życzenie księcia doskonale uiszczone zostało. Wielu szlachetnych rycerzy ubiegało się o rękę Róży; ona zaś wybrała z nich najzacniejszego i żyła z nim szczęśliwie, a tem był Ekbert, syn najmłodszy księcia. Wszakże wybór ten nastąpił dopiero w rok po wręczeniu rzeczonego przywileju.

Powstali wszyscy od stołu, a książę oświadczył chęć widzenia studni i dziś poświęconej kaplicy. Hildegarda rozkazała wiadro studzienne oświetlić, aby można było pomierzyć głębokość. Wyszli wszyscy goście ku studni, a oświetlony ceber stanął na powierzchni wody. Zajrzał książę w studnię i przypatrzywszy się błyskającemu światłu, rzekł do Róży:

— Zaiste nie pojmuję panno, zkąd ci przyszło tyle odwagi spuścić się w tę przepaść! — Dopóki będzie Fychtenberg istnial, będą mówić o twojem męztwie! Wystawiłaś tu sobie pomnik, jakiego jeszcze sobie żaden rycerz nie wystawił. Od studni udał się książę wraz z gośćmi do kaplicy, a pomodliwszy się przed ołtarzem, odrzekł:

— Że właśnie panna Róża swą miłością ku ojcu spowodowała tę kaplicę, wypadałoby na uwielbienie tego pięknego czynu, wypisać złotemi literami nad ołtarzem:

„Na pamiątkę miłości dziecięcej”.

— O nie, — odrzekła Róża, — toby było za wiele sławy dla człowieka. Bogu samemu, który wykonał wielkie rzeczy, jest ten ołtarz poświęconym.

W tem pośrodkując między spornemi ks. Opat odezwał się:

— Ja z mej strony przedstawiam, żeby zamiast napisu, który nie odpowiada skromności panny Róży, położyć w złotych literach czwarte przykazanie:

„Czcij ojca i matkę twoję,
Jeżeli chcesz mieć łaskę moję”.

Na to wszyscy przystali; a przyrzeczenie Boga w tych słowach zawarte, zlało się obficie na Różę z Tanenberga.

(Koniec.)

GAWĘDZIARZ.

WĄŻ.

(Ciąg dalszy.)

A zatem umówili się, ażeby wróżka przeznaczenie tych dziewcząt odkryła.

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona:

— Oto są dwie próżne miedziane wanny, która z tych dziewcząt wprzódy pełną wannę naniesie wody, ta pierwsza za mąż iść winna.

Marychna pobiegła czemprędzej do rzeczki przez wieś płynącej, a Kasia zwolna do czystego pod bór poszła zdroju.

Starsza Marychna, aby pierw poszła za mąż, spieszno wodę nosiła, młodsza zaś Kasia daleko miała nosić i kiedy Marychna trzy wiadra do swej wanienki wlała, Kasia ledwie z jednem wróciła, ale to jedno jak poczęła lać do wanny, dopóty lała, aż jej wanna stała się pełną.

I już Kasia miała pójść za urodnego panicza, już on na drugi dzień po wschodzie słońca

na swe zaręczyny przyjechał, gdy rodzice dwóch dziewcząt onemu rzekli, aby wróżka powtórnie i sprawiedliwiej przeznaczenie ich dziewcząt odkryła.

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona:

— Oto są dwie srebrne czary, która z tych dziewcząt jutro przed słońca wschodem pełną czarę kroplistej rosy uzbiera i której rosa będzie czyściejszą, ta pierwsza za mąż iść winna.

Marychna wstała przed świtem, i czemprędzej na szerokie łąki pobiegła, a Kasia później i zwolna do czystego pod bór poszła zdroju.

Przybywszy z pełnemi czarami rosy do wróżki, zastały tam już ojców i urodnego panicza. I starsza Marychna, kiedy swą rosę ze srebrnej czary w kryształowe naczynie wlała, zbrudził się kryształ czysty, a w zebranych kroplach rosy pływały maleńkie gady.

A zaś, kiedy młodsza Kasiula swą rosę ze srebrnej czary w kryształowe naczynie wlała, jej czysta rosa, jak łza, ozdobiła kryształ czysty i znać nie było, co rosa a co kryształ.

I już Kasiula miała pójść za urodnego panicza, już on w następnym dniu przed południem na swe zaręczyny przyjechał, gdy rodzice dwóch dziewcząt onemu rzekli, by wróżka po trzeci raz przeznaczenie ich dziewcząt odkryła.

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona:

— Oto są dwa kłębki złote, która z tych dziewcząt przed wschodem słońca, na którybądź z tych kłębków więcej nawije błękitnej mgły, ta pierwsza za mąż iść winna.

Marychna wstała przed świtem, a wyszedłszy na pole i nie wiedząc jak na swój kłębek złoty błękitną nawijać mgłę, umyśliła sobie czekać na Kasię, aby ujrzeć, co ona robić będzie. Patrzy, a Kasia idzie zwolna do czystego pod bór zdroju — i Marychna poszła za nią.

Kasia stoi nad zdrojem, a nad nim pełno mgły, i gdy Kasia po nad zdrój wyciągnie rękę swą, za każdą razą bez końca wlecze nić mglistą i na złoty kłębek zwija, a Marychna z drugiej strony, co wyciągnie rękę swą, mgłę na dwie rozdziela części.

Starsza Marychna widząc kłębek swój pusty, kiedy Kasiula z nawitą mgłą, zwolna do domu wracała, gniewem i zazdrością przejęta, młodszą siostrę wyprzedziła i po siekierę pobiegła; a spotkawszy ją na łące niedaleko czystego zdroju pod borem, onę zabiła.

Zabiwszy Marychna młodszą siostrę swą Kasiulę, na tejże pogrzebała ją łączce i usypała nizką mogiłę, a potem przed wróżką, gdzie stanęli także ojcowie i urodny młodzieniec, kłębek nawitej przez zabitą siostrę błękitnej mgły złożyła, — a na zapytanie, gdzie jest siostra Kasiula?

— Nie wiem! — odpowiedziała.

Czekali wszyscy dzień, dwa i dziesięć na powrót młodszej dziewczyny, lecz że jej doczekać się nie mogli, mówili ojcowie do urodnego pana, aby Marychnę, która cały kłębek zwinęła mgły, pojął za żonę, a o tamtej wietrznicy zapomniał, która jeśli nie pobiegła za innym, może jako dobra siostra, aby ustąpić pierwszeństwo starszej, u znajomych lub krewnych została.

Zbliżał się koniec roku wyswobodzenia zaklętego panicza, który przed zachodem słońca, zrzuciwszy z siebie węża skórę, dosiadł rączego konia, i do ojców Marychny na swe zaręczyny przybył.

Przybywszy, o swem zaklęciu wszystko wiernie powiedział i w końcu dodał, oddając skórę swą do schowania Marychnie, jako swej przyszłej żonie, że już tylko siedm dni brakuje, a on z zaklęcia zostanie wolny i do śmierci będzie szczęśliwy.

Siedm dni, to długo, Marychna myśli sobie, a kiedy ma być mężem moim, niechże nim będzie czemprędzej — i myślała co począć, jak zrobić, aby urodny jej kochanek już nie odjeżdżał, bo gdy odjedzie, myślała dalej, może znajdzie inną, i tu więcej nie wróci.

Kiedy sobie tak myślała, ojcowie stół zastawili, z sąsiadami i krewnymi córce swojej zaręczyny wyprawiali — jedli, pili, rozmawiali i nic nie brakowało, prócz muzyki.

Aż tu idą pasterze i na fujarkach grają, a pan młody i goście pasterzy proszą, by przed ich domem zagrali.

(Dokończenie nastąpi).

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Kazimierz wyszedłszy z swem zawiniątkiem pod pachą, szedł prosto ku Powązkom i rozmyślał po drodze, jakby te rzeczy oddać Piotrowi; bo wiedział, że Piotr z braku przyodziewku nie przychodził do tokarni. I szedł tam dalej; minął rogatki, minął cmentarz — i zbliżył się do domku samotnego kowala. Obszedł go naokoło, ujrzał w oknie u Piotra światełko.... zajrzał.... i cóż zobaczył?

Oto na tapczanie siedział Piotr, strumienie łez lały mu się z oczu; Zosia wisiała u jego szyi, i ściskała go serdecznie; jedną ręką trzymał rękę swojej żony, w drugiej w otwartej dłoni miał owe cztery talary darowane przez Kazimierza i wołał:

— Przecież jemu żadna praczka nie pierze, bo rodzice jego, mieszkając nie zbyt daleko ztąd, biorą bieliznę do siebie! O! poczciwy Kazimierzu! Chciałeś pomódz mojej rodzinie, którą ja w nędzę wtrąciłem! O! te talary palą mnie w ręce! O jam niegodziwy! — A ty, moja żono, czy przebaczysz mi, żem sobie tak niedbale, tak niegodziwie postępował? Przebacz mi! Oto na obraz ten święty, na imię Matki Bozkiej przysięgam, że nigdy a nigdy nie wstąpię do szynku!

— Kochany mężu, rzekła mu na to Piotrowa, nie uwierzysz jak mię to cieszy, że widzę cię tak skruszonym, że wyrzekasz się szynkowni, co nas już do ostatecznej doprowadziła nędzy. Ale nie gniewaj się, jeśli ci jeszcze słówko powiem. Sam mi o tem wspominałes, że pan Karól już nieraz cię powstrzymywał od pijaństwa i mnie samej nieraz obiecywałeś, i przysięgałeś nawet, że się poprawisz. Ale cóż potem, kiedy poprawa ta zawsze była tylko chwilowa. Czy i teraz moja radość ma być tak krótką? Czy i teraz dawny, zakorzeniony nałóg nie obali twego postanowienia?

— Masz słuszność, — odrzekł jej na to Piotr nieco zasmucony i zakłopotany niedowierzaniem żony; masz słuszność, żem cię już nieraz zawodził, że nie dotrzywałem ale teraz — czegoż chcesz więcej, wszakżem ci już poprzysiągł na Imię Matki Bozkiej, że nie pójdę do szynkowni.

— Przysiągłeś, co prawda, — odpowiedziała znów żona, — ale nie bierz mi za złe, że nie ufam już twojej przysiędze, kiedyś ją nieraz już złamał, bo wiesz, że jak się kto raz sprzeniewierzy, to mu się już więcej nie wierzy. — Pierwszy lepszy z dawnych twoich kamratów, tylko skinie na ciebie, to pójdziesz za nim i na nowo rozpocznie się hulanka. —

— Co to, to nie, — zawołał teraz urażony już nieco Piotr; — com teraz powiedział, tego dotrzymam, i choćby parę wołów do mnie zaprzęgli, to do szynkowni mnie nie wciągną! Zresztą jaką ci mam dać pewność, że to zrobię?

— Idź do Spowiedzi świętej, rzekła żona spokojnie, spoglądając mu w oczy.

Na te słowa jakby coś Piotra było ukąsiło,

— zmięszał się, powstał, zaczął przechadzać się po ciasnej izdebce.

— Po co do Spowiedzi? zawołał nareszcie. Przecie nie masz jeszcze pół roku, jak odbyłem Spowiedź Wielkanocną! Wiesz, że ja nie lubię zbyt często się spowiadać, bo przez to tylko powszechnieje Spowiedź. Wy kobiety to tylko w księży wierzycie!

— Nie w księży, kochany mężu, — odrzekła na to spokojnie Piotrowa, — ale w Boga, którego przy Spowiedzi księża zastępują. Byłeś temu pół roku u Spowiedzi, ale tylko prawie z przymusu, a nawet sam mi powiadałeś, i to z niemałem oburzeniem, że ci ksiądz nie dał rozgrzeszenia, bo widać, żeś go nie był godzien. Teraz Pan Bóg kołace znów do twego serca, korzystaj z dobrego natchnienia: wyznaj Panu Bogu winy swoje i złóż na ręce Jego zastępcy obietnicę poprawy, a Bóg łaskawy przyjmie twój żal szczery, odpuści grzechy, a do tego łaską swą najświętszą uświęci twą przysięgę, tak że jej dotrzymasz. No i co? kochany Piesiu, nalegała na niego dalej ze słodyczą, pójdziesz do Spowiedzi świętej?

Piotr widocznie był zakłopotany. Długi nałóg pijaństwa obmierzł mu przystępowanie do Sakramentów świętych, a szatan, który mniemał już mieć prawo do jego duszy, wpoił w jego serce szczególniejszą odrazę do Spowiedzi świętej. Do kościoła chodził, posty zachowywał, pacierza nigdy nie zaniedbał, chyba że był pijany, — ale gdy mu kto o Spowiedzi wspomniał, to jakby go kto zlał okropem. Zamyślił się więc i teraz głęboko, i długo nie dawał odpowiedzi: snać nałóg zakorzeniony silny opór stawiał wpływom łaski Bożkiej, — snać zacięta w jego sercu wrzała walka.

Nareszcie żona łagodnie, ale z coraz większem naleganiem odzywa się znowu:

— No Piesiu, czyż mi nie dasz nawet odpowiedzi? Wszak pójdziesz do Spowiedzi, nieprawdaż? i pogłaskała go po twarzy, mile się do niego uśmiechając.

Piotr nie mógł się już oprzeć jej słodkiemu naleganiu, — uśmiechnął się, posępność znikła z jego czoła, widać, że jakaś myśl szczęśliwa przesunęła mu się przez głowę. — Kiedy koniecznie chcesz, odezwał się, to pójdę, ale ty musisz iść ze mną!

— Dzięki Bogu! — zawołała uradowana żona, — jeśli tylko nic więcej nie żądasz, z największą chęcią będę ci towarzyszyła! Jutro więc raniuteńko oboje pójdziemy do Kapucynów!

— Pójdziemy, — odrzekł Piotr i uścisnął poczciwą swą żonę, — niechże Bóg dokończy co ludzie rozpoczęli.

Kazimierzowi stojącemu pod oknem podczas całej tej rozmowy o mało serce nie wyskoczyło z radości, gdy widział i słyszał co się w izbie działo; oto jego towarzysz, jego ziomek się nawrócił, mąż żonie, ojciec dzieciom, obywatel Ojczyźnie wrócony! Potoczyły mu się po licach łzy radości i wdzięczności ku Bogu, iż jego wybrać sobie raczył za narzędzie do spełnienia tego pięknego czynu.

Ale cóż było czynić z zawiniątkiem? Wejść do nich nie chciał, nie chcąc się wystawiać na to, aby mu uszczęśliwiona przez niego rodzina dziękowała; własne bowiem jego sumnienie było mu najlepszą nagrodą, i starczyło mu za wszystko.

Nie długo się zatem namyślając, obiegł domek, zapukał do drzwi wiedząc że stary kowal mu otworzy. I rzeczywiście otwarły się drzwi, a głos starego kowala odezwał się:

— Kto tam?

— To ja.

— Co za ja? — Bo nie poznaję.

— Nic nie szkodzi. Proszę to zawiniątko oddać Piotrowi Stropskiemu!

To mówiąc Kazimierz wcisnął zawiniątko zdziwionemu kowalowi w ręce, a sam znikł.

Kowal postał chwilkę, mrucząc sobie pod nosem, nakoniec pomyślał sobie, że trzeba zrobić jak mu polecono. Przeszedł więc sień, otworzył drzwi izdebki, a kładąc zawiniątko na stole, rzekł:

— Kazano mi to oddać Piotrowi Stropskiemu! Oddaję. — Po tych słowach oddalił się.

Wszyscy w izbie spojrzeli z zadziwieniem po sobie, nie wiedząc co się dzieje, aż Zosia skoczyła do zawiniątka, rozwiązała je, a biedny Piotr ze wstydem poznał swoje u Szrajbera zostawione suknie.

I nagle zawołał: — Zkąd one się tu wzięły? Zkąd kowal je dostał?

I wybiegł z izby do kowala, ale dowiedział się od niego tylko, ile mu mógł powiedzieć ten, co sam nie wiele wiedział. Nie trudno przecież było domyśleć się prawdy.

Wrócił więc do swoich, i rzekł z rozrzewnieniem:

— Wiecie kto mi przyniósł te rzeczy, którem był zastawił u Szrajbera? — Oto nasz Anioł! Kazimierz!

VIII.

Nawrócony.

Nazajutrz raniutko, ledwo się nieco rozjaśniło, jeszcze przed wschodem słońca dwoje ludzi, mężczyzna jakiś i niewiasta, przystojnie, porządnie lecz skromnie ubrani, idą poważnie obok siebie, a nie oglądając się ni w prawo ni w lewo, jakby głęboko zamyśleni, milcząc kroczą po pustych bezludnych ulicach Warszawy. Tylko tu i owdzie szyldwach znużony z bagnetem na ramieniu chodzi około swej budki regularnie stąpając, jakby machina jaka, a odgłos podkutych jego butów uderzających o twarde kamienie bruku, daleko się rozlega; — tu i owdzie otwiera się opieszale okiennica, z za której wychyla się nie wyczesana jakaś i poziewająca głowa; tam znów skrzypiąc roztwierają się podwoje jakiegoś sklepiku a właściciel jego w szlafmycy, wytoczywszy się ociążale na ulicę, przeciąga się, że aż mu wstawy pękają, a ziewa tak szeroko, jakby całe miasto chciał połknąć, spojrzy potem w niebo, czy pochmurne lub pogodne, zażyje poważnie tabaczki, przeżegna się, a szepcąc pacierze wróci do sklepiku; — tu i owdzie cichaczem i szybko przemknie się jakaś skrzętna służąca, zresztą cicho, pusto, głucho w ulicach Warszawy.

Pielgrzymi tymczasem, w których nie trudno poznać naszych znajomych, Piotra z żoną, mijają jednę i drugą ulicę, a idą i idą coraz dalej, wciąż zamyśleni i milczący, — przychodzą na ulicę Miodową i zatrzymują się przed kościołem Ojców Kapucynów.

Dobijają się do drzwi, ale drzwi jeszcze zamknięte.

— Zawczas się wybraliśmy, odzywa się Piotr, wszystko śpi jeszcze, trzeba nam będzie zaczekać.

— Nic nie szkodzi, odezwała się żona, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Zresztą Ojcowie Kapucyni nie lubią długo zasypiać; zadzwońmy tylko, a wnet nas wpuszczą do kościoła. A tymczasem uklękniemy sobie i przed kościołem pomodlimy się nieco.

Piotr zadzwonił, ukląkł obok żony u drzwi kościelnych, a oparłszy głowę o mur, ukrył twarz w dłonie i głęboko coś wzdychał. Za chwilkę usłyszeli stąpanie wewnątrz kościoła, potem brzęk kluczy, nareszcie klucz wsunął się w zamek, zakręcił się, zawiasy skrzypnęły, drzwi się roztworzyły, i ukazała się w nich postać poważnego, brodatego Kapucyna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zagadnął przybyłych, — a cóż was tak rychło do nas sprowadza?

— Na wieki wieków, — odpowiedzieli nasi, — przybyliśmy do Spowiedzi św. Czybyście nam dobrodziejaszku nie mogli zaprosić którego z Ojców?

— Zaraz, zaraz, wejdźcie tylko do kościoła i poczekajcie chwileczkę!

I wszedł z nimi do kościoła, objaśnił knotek w lampce płonącej przed Najświętszym Sakramentem, otrzepał z kurzu Wielki Ołtarz, a oddawszy głęboki pokłon Panu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie utajonemu, znikł we drzwiach zakrystyi.

Piotr z żoną wszedłszy do świątyni Pańskiej upadł zaraz na kolana, a ucałowawszy ziemię, modlił się spoglądając co chwila na drzwi zakrystyi z pewną niespokojnością, — widać, że jeszcze się lękał Spowiedzi, tak jak dziecko nieroztropne lęka się lekarstwa, które mu zdrowie ma przywrócić!

Nareszcie wysunęła się z owych drzwi sędziwa postać w grubym tabaczkowym habicie powrozem przepasana; głowa srebrzystym okryta włosem, i długa bielutka broda mimowoli uszanowaniem każdego przejmowała, a łagodne, ujmujące rysy twarzy świadczyły o dobrem, ojcowskiem jego sercu. Był to Ojciec Gaudenty, znany w całej Warszawie ze świątobliwości i mądrości. To też Piotr ujrzawszy go, ochłonął z przestrachu, który go dotychczas był nie opuszczał, i jakby ożył na nowo. Pomodliwszy się chwilkę przed Wielkim Ołtarzem, Ojciec Gaudenty poważnym krokiem udał się ku najbliższemu konfesyonałowi i miejsce w nim zajął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Zwolennicy króla — arystokraci — poczęli pastwić się nad ludem — robotnikami, czyli republikanami, jak ich nazywano. Ci zaś szukali sposobności do zrzucenia jarzma nienawidzonych arystokratów.

Indyanie z plemiona Susquehannah tymczasem wypędzeni z swych własności przez Senecas'ów, idąc na południe przybyli do Virginii, gdzie się dopuścili nadużyć i nawet zamordowali kilka osób. Lud pomimo ociągania się gubernatora Berkeley'a, zgromadził się pod naczelnictwem Nataniela Bacon i odpędził Indyan aż po za rzekę Rappahannock. Berkeley kazał następnie uwięzić Bacona za to, iż uderzył na Indyan bez jego pozwoleństwa, lecz obawiając się zemsty ludności, puścił go na wolność.

Opinia publiczna zwyciężyła tym razem i nadużycia arystokracyi zostały zniesione. Bacon jednakowoż obawiając się zdrady, zebrał około 400 zbrojnych ludzi z górnych powiatów i został zamianowany jenerałem wojska virginskiego. Gubernator nie chciał podpisać jego nominacyi; Bacon zaś udawszy się na czele swego oddziału do Jamestown zmusił go do tego w dniu 4 lipca 1676 roku (100 lat przed ogłoszeniem niepodległości.) Konwencya Virginii zamianowała następnie Bacona jenerałem nad 1000 ludźmi. Jako taki podjął wyprawę przeciw Pamunkey Indyanom, co widząc Berkeley, zwołał zwolenników królewskich i ogłosił Bacona zdrajcą. To rozjątrzyło wodza republikańskiego, który wróciwszy do Jamestown, wszczął wojnę domową. Własność zwolenników królewskich została skonfiskowaną, żony ich pojmane a plantacye zniszczone. Berkeley uciekł na wschodnie wybrzeże rzeki Chesapeake. Bacon podziękował za naczelnictwo, rozpuścił swe wojsko, zwołał konwencyę i chciał już zrzucić jarzmo królewskie, gdy doniesiono, że wojsko królewskie nadciąga, aby uśmierzyć powstanie. Niezmiernie cieszył się z tego Berkeley, który się w dniu 7 września z kilku rojalistami wrócił do Jamestown. Bacon zaś zgromadził na prędce swych przyjaciół, wypędził Berkeley'a i jego stronników z Jamestown, a widząc nadciągające przeważne siły królewskie, spalił całe miasto, z którego pozostała jedyna jedna wieża kościelna, która do dziś dnia stoi. Poszedł potem po nad rzekę York, chcąc wojsko królewskie zupełnie z Virginii wypędzić. Lecz nieprzyjaciel sroższy, jak wojsko królewskie, napotkał go: była to śmierć, która go wskutek szkodliwych wyziewów bagien zabrała w dniu 11 października 1676. Zgon jego był ciosem śmiertelnym dla sprawy republikańskiej. Berkeley powróciwszy, kazał 22 naczelników powstania powiesić, innych kazał uwięzić lub skonfiskował ich własność i rządził tak surowo, że król go sam odwołał w r. 1677. Gdyby Bacon'owi było się udało zrzucić jarzmo królewskie, czczonoby go tak samo, jak dziś Washingtona, lecz że tego nie uczynił, uważają go do dziś dnia za zdrajcę.

Minęło wiele lat, nim skutki tych wojen domowych się zatarły. Pomimo uciemiężenia przez gubernatorów królewskich, szerzył się duch republikanizmu coraz bardziej między ludem. Gubernator Jeffreys był może gorszym niż Berkeley, lecz chociaż go król popierał, o ile mógł, nie zdołał zniewolić ludu do wyrzeczenia się swych zasad. Lord Culpepper, który przybył w r. 1680, był tak surowym dla ludu, że go król sam odwołał w r. 1684. Podobnym był następca jego Effingham i już miało wybuchnąć powstanie, gdy król Karol umarł, a brat jego Jakób II zajął tron angielski. Lud spodziewał się odmiany, lecz omylił się. Lepsze czasy nastały wtedy dopiero, gdy wskutek rewolucyi w Anglii Wilhelm Orańczyk w r. 1688 dostał się na tron. Stuartowie znienawidzeni utracili władzę swą w Wielkiej Brytanii na zawsze. Wola ludu, którego zastępcą był parlament, stała się potęgą, król mało

już miał wpływu; władza gubernatora w koloniach została ograniczoną, i chociaż źli mężowie czasem dopuszczali się nadużyć w koloniach, to jednak rozszerzały się już coraz bardziej prawdziwe polityczne zasady i wolne instytucye mnożyły się coraz bardziej.

Historya Virginii od rewolucyi 1681 r., aż do wojny francuzko-indyańskiej, okazuje nam stały i spokojny postęp pracowitego ludu i nie przedstawia nic szczególnego dla czytelników.

ROZDZIAŁ II.

New York.

Już w jednym z poprzednich rozdziałów wspomnieliśmy o tem, że Henryk Hudson, stojący w służbie wschodnio-indyjskiej kompanii, podczas podróży swoich odkrył rzekę Hudson i nadał jej swoją nazwę. Kompanii zaś przesłał tak świetne sprawozdanie o nowo odkrytych krajach, iż wkrótce wysłano do bliższego zbadania nieznanych dotąd okolic, różnych ludzi na kilku okrętach, naładowanych różnemi towarami dla handlu z Indyanami. Pomiędzy innymi poplynął już później do Ameryki odważny Adrian Block, który pierwszy przepłynął niebezpieczną bramę piekielną (Hell gate). W 1613 r. spalił się jego okręt, poczem wraz z towarzyszami wybudował kilka chatek na miejscu, gdzie dzisiaj się znajduje Bowling Green, które były początkiem dzisiejszego wielkiego miasta New York. Następnej zimy wybudowali okręt i podjęli podróż na północ. Podczas tej podróży odkryli rzekę Connecticut i Thames i dobili nawet aż do miejsca, gdzie dziś Providence (Rhode Island) stoi. Kupcy hollenderscy przybywali już teraz często do Ameryki i płynąc po rzece Hudson, aż 200 mil w głąb kraju prowadzili korzystny handel z Indyanami. W r. 1614 wybudowali na małej wyspie w pobliżu Albany twierdzę i magazyn, i nazwali miejscowość tę Nassau, a w 9 lat później Fort Orange mniej więcej w tem miejscu, gdzie dziś State str. w Albany się znajduje.

Kompania hollenderskich kupców dostała w październiku 1614 r. „charter", który im zapewnił monopol handlu w kraju pomiędzy Cape May aż do Nowej Szkocyi. Kraj ten nazwano Nowemi Niderlandami. Handel przynosił im wielkie korzyści i dla tego tworzyło się coraz więcej kompanij kupieckich. W r. 1623 uorganizowano wielką hollendersko-zachodnio-indyjską kompanię, której pierwszem zadaniem było utworzyć stałą kolonię. W kwietniu 1623 r. przybyło do Manhattan 30 familij Wallonów (francuzkich protestantów), którzy się do Hollandyi byli schowali, pod naczelnictwem Korneliusza Jacobsen May, zamianowanego gubernatorem nowej kolonii. Ośm z tych familij popłynęło aż do dzisiejszego Albany i osiedliło się tam, reszta pozostała tam, gdzie Brooklyn leży. Był to początek wielkiego stanu nowoyorskiego.

Polityczny wzrost stanu New York rozpoczął się dopiero z przybyciem nowego gubernatora Piotra Minnit do Nowego Amsterdamu, dzisiejszego miasta New York (1626). Ten kupił od Indyan za $24 cały półwysep Manhattan i wybudował tam, gdzie dzisiaj Castle Garden się znajduje, mocną warownię. Przybywało coraz więcej kolonistów. W r. 1633 został zamianowany gubernatorem Van Twiller. Po nim objął ten urząd William Keift, (1638), który był chciwym, bezsumiennym, choć odważnym człowiekiem. Zarząd jego był nieszczęśliwym, gdyż miał wciąż zatargi z Szwedami w Delaware, z Anglikami w Connecticut, i prawie wszystkiemi kolonię otaczającymi Indyanami i nawet z własnymi kolonistami. Ponieważ kilku Indyan z plemiona Raritan popełniło grabież, powstały spory i rozruchy, w których kilku Indyan i następnie kilku osadników zabitych zostało. Keift chciał wydać Indyanom wojnę, lecz nie śmiał tego sam uczynić; zwołał dla tego do Nowego Amsterdamu na obradę najgłówniejszych obywateli. Ci wybrali z pomiędzy siebie 12 członków, których prezydentem został obrany de Vries — byli to pierwsi reprezentanci ludu na półwyspie Manhattan. Pomiędzy Mohawkami i innemi plemionami nad rzeką Hudson mieszkającemi wybuchła wojna. Niektórzy z ostatnich uciekli do Hackensacków w New Jersey mieszkających i prosili Hollandczyków o pomoc. Była tu dobra sposobność zaskarbić sobie łaskę Indyan. Keift jednakowoż żądał wylewu krwi i pomimo obrady innych rozwiązał radę wybranych a połączywszy się z Mohawkami, na czele znacznego oddziału napadł na zbiegów, którzy go o pomoc prosili, i wymordował 100 mężczyzn, niewiast i dzieci.

Rzeź ta rozjątrzyła wszystkie inne sąsiednie plemiona i rozpoczęła się krwawa wojna. Indyanie mordowali białych gdziekolwiek ich spotkali. Wsie i pojedyncze domy zostały zniszczone. Na domiar nieszczęścia połączyły się plemiona na Long Island mieszkające z pobratymcami swymi. Cały byt kolonii był zagrożony. Szczęściem zjawił się w tej chwili Roger Williams (1643), człowiek wielce przez Indyan szanowany i uspokoił umysły rozdraźnione; lecz było to tylko na chwilę. Wkrótce wybuchła wojna na nowo i trwała przez dwa lata. Koloniści nie mając zdolnego wodza, wybrali nim

kapitana Jana Underhill, który Indyan pobił i wojnie położył koniec. Mohawkom dostało się zwierzchnictwo nad plemionami nad rzeką przebywającemi. Keift został w r. 1647 odwołany, lecz okręt, na którym płynął, rozbił się, a Keift znalazł śmierć w morzu. Następcą jego był Piotr Stuyvesant, który zdołał sobie ujednać łaskę Indyan. Rządził zresztą sprawiedliwie, choć po żołniersku t. j. surowo. Zaprowadził potrzebne reformy i załatwił sprawy graniczne z Anglikami (1650). Uskuteczniwszy to, zwrócił swą uwagę na coraz bardziej wzrastającą potęgę Szwedów nad rzeką Delaware. W r. 1651 wybudował twierdzę św. Kazimierza, tam gdzie dziś New Castle w Delaware się znajduje, lecz Szwedzi zdobyli ją i pojmali załogę. Stuyvesant na czele 600 ludzi wypłynął do Delaware, zdobył wszystkie twierdze szwedzkie, pojmał gubernatora (Risingh) i posłał go do Hollandyi. Część kolonistów szwedzkich ubiegła do Maryland i Virginii, reszta zaś poddała się. Kraj przez nich osiedlony został przyłączony do Nowej Niderlandyi. Tak zaginęła Nowa Szwecya po siedmnastu latach istnienia (1638—1655).

Podczas gdy Stuyvesant w Delaware się znajdował, zagrozili Indyanie Nowemu Amsterdamowi, lecz powrót jego uspokoił ich. Przez ośm lat panował pokój. W r. 1663 napadli Indyanie z plemienia Esopus osadę pod Wiltwyck (dziś Kingston) i zabili lub pojmali 65 mieszkańców; Stuyvesant jednakowoż ukarał ich tak, iż w r. 1664 prosili o pokój.

Tymczasem rozszerzały się idee demokratyczne coraz bardziej między ludnością, która chciała użyć wolności, jaką koloniści angielscy posiadali. Życzenia ludu sprawdziły się. Karol II król angielski, choć nie miał prawa do Nowych Niderlandów, podarował takowe w dniu 22 marca 1664 r. bratu swemu, księciu York, który wysłał potężną flotę dla zabezpieczenia sobie daru. Stuyvesant widząc, że koloniści sprzyjają Anglikom, widział się zmuszonym oddać fortecę, a wnet powiewała nad nią chorągiew z nazwą New York. Nowa Niderlandya stała się posiadłością angielską a jej gubernatorem Nicolls.

Lud przekonał się wnet, że zmiana pana nie zawsze przyczynia się do dobrobytu. Wnet nałożono nań większe podatki. Prawdziwym tyranem był Lovelace, następca Nicolls'a. Już chciano wywołać powstanie, gdy wybuchła wojna między Anglią i Hollandyą (1672). Flota hollenderska zajęła w dniu 9 sierpnia 1673 New York. Przez szesnaście miesięcy należała znów Nowa Niderlandya do Hollandyi. Traktatem dostała się w listopadzie 1674 znów Anglikom i pozostała w ich posiadaniu aż do ogłoszenia niepodległości 1776.

Gubernator Edmond Andros był prawdziwym tyranem, lecz musiał ustąpić Tomaszowi Dongan, katolikowi, który zwołał konwencyę reprezentantów ludu, przez którą został położony fundament stałego rządu ludu przez swych reprezentantów. Tymczasem zasiadł na tronie angielskim Jakób II, który jako książę York był kolonistom nadał znaczne przywileje; będąc królem nie chciał takowych uznać. Staraniem jego było zaprowadzić katolicyzm w nowej prowincyi (gdyż sam był katolikiem) i dla tego obsadził wszystkie urzęda katolikami. Chciał także nawrócić Indyan tak nazwanych ,,Pięć narodów'', lecz Dongan, który był liberalnym, opierał się temu. Lud był także po jego stronie i chciał już podnieść rokosz przeciwko Jakóbowi, gdy nadeszła wiadomość o ucieczce tegoż i zajęciu tronu przez Wilhelma. Natychmiast wybrał lud swym naczelnikiem wpływowego kupca Leisslera, który w imieniu nowego króla zajął twierdzę. Nicholson następca Dongana ubiegł. Tymczasem został zamianowany w Anglii gubernatorem Sloughter, lecz Leissler nie chciał w ręce jego urzędu złożyć i zamknął się w fortecy Orange. Przez zdradę jednakowoż zdołano go schwycić. On i doradzca jego Milborne za zdradę stanu zostali skazani na śmierć i powieszeni na tem miejscu, gdzie dzisiaj Tammany Hall w New Yorku stoi. Byli to pierwsi męczennicy za wolność amerykańską.

Henryk Sloughter, choć mający słaby i rozwiozły charakter, starał się o dobrobyt kolonistów. Dla tego też zwołał konwencyę ludu, na której ustanowiono konstytucyę, sąd przysięgłych i uwolnienie od podatków w przypadkach wyjątkowych za pozwoleństwem reprezentantów ludu. Każdy spodziewał się lepszych czasów, gdy nagle gubernator umarł na ,,delirium tremens'' w dniu 2 sierpnia 1691 r. Następca jego Benjamin Fletcher, kierujący się tylko namiętnością, stał się narzędziem arystokracyi, za co go lud szczerze nienawidził. Duch buntowniczy począł władać ludem. W tym samym czasie przeszli Francuzi i Indyanie pod dowództwem Frontenac'a, gubernatora Canady granicę, lecz Fletcher za pomocą Indyan, tak nazwanych ,,Pięć Narodów'', wypędził Francuzów i ich sprzymierzeńców aż po za rzekę ś. Wawrzyńca i zniszczył wszystkie osady francuzkie nad jeziorem Champlain.

Po nim nastał lepszy zarządzca, hrabia Bellemont, rzetelny i sprawiedliwy człowiek (1698), pod którego władzą zostały stawione także New Hampshire i Massachusetts. Na seryo zaprowadził reformę i zniszczył potęgę rozbójników, którzy bardzo szkodzili handlowi kolonistów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)